

Różaniec, który uratował pradziadka



Nie wiadomo, czy długo jeszcze by wytrzymał zasypany, gdyby nie ów wystający spod zwaliska ziemi różaniec...

Młody Wojciech Leski, który coraz częściej myślał o ślubie z ukochaną Zofią, musiał swoje plany odsunąć na jakiś czas, gdyż ledwo odrodzone państwo polskie stanęło przed strasliwym zagrożeniem. Latem 1920 r. Armia Czerwona, wysłana przez Lenina, aby całej Europie zanieść ideały rewolucji komunistycznej, maszerowała w kierunku Warszawy. Nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach coraz mniej osób wierzyło w możliwość zatrzymania jej.

Bolszewicy pod Warszawą

Wojtek nie obejmował wszystkich aspektów tej wojny; gdy Armia Czerwona zbliżała się do stolicy, nie znał wszystkich szczegółów planu gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Wiedział tylko, że należy walczyć. Był prostym żołnierzem, jak tysiące innych, wierzących, że to ich obowiązek wobec Boga i Ojczyzny; wobec rodzin i bliskich.

Kiedy doszło do natarcia bolszewików, walczył w jednym z okopów. Towarzyszył mu huk dział, salwy karabinów, wyrzucane w powietrze przez pociski grudy ziemi, dym zasnuwający pola. Ale nie tylko. Towarzyszyły mu również wiara i nadzieja, których wyrazem był różaniec w jego dłoni. Drewniane koraliki, połączone łańcuszkiem, bardzo często przesuwwały się między jego palcami. Czy koledzy z oddziału rozumieli to? Czy traktowali z szacunkiem, czy raczej z pobłażaniem? A może bardziej doświadczeni żołnierze patrzyli wręcz z politowaniem, biorąc modlitwę za oznakę lęku młodego żołnierza? Ilu z nich przeżyło, a ilu znalazło się wśród czterech i pół tysiąca zabitych lub dziesięciu tysięcy zaginionych? Bo przecież taki był po stronie polskiej tragiczny bilans tej zwycięskiej bitwy.

Jednak młody chłopak, gdy ruszało sowieckie natarcie, po prostu z całych sił starał się powierzyć Matce Boskiej. Czy miało to sens? Cóż mógł sprawić ten drobny różaniec przeciwko wielkiej armii, przeciwko kulom, wybuchom, przeciwko nienawiści, bólowi i osuwającej się do okopów ziemi? A jednak łaska Pańska potrafi się objawić w różny sposób.

Gdy już ucichły odgłosy bitwy, gdy wojska bolszewickie wycofywały się w popłochu, ścigane przez armię polską na obrzeżach Warszawy, ból i łzy mieszały się z radością. Zwycięstwo było dla wszystkich zaskoczeniem. Kiedy jednak zdolni do dalszej walki żołnierze ruszyli do kontrofensywy, na polu bitwy zostali zabici i ranni, ukazujący cenę, jaką przyszło zapłacić za wolność.

Cudowne ocalenie

Służby sanitarne długo przeszukiwały teren walki, znosząc tych, którym można było jeszcze pomóc. Grupa sanitariuszy szła powoli wzdłuż linii prawie zasypanych już okopów. Byli zmęczeni. Może wracali już, aby odpocząć, albo szli w miejsce, gdzie można było znaleźć jeszcze rannych. W końcu skończyli już sprawdzanie tego odcinka. Nie pozostał nikt, komu byliby potrzebni. Nawet ciała zabitych w dużej części były już wywiezione.

Nagle jeden z sanitariuszy przystanął, dostrzegając leżący na ziemi, częściowo przysypany, drewniany różaniec. Zrozumiał, że jest to pamiątka po jednym z tysięcy żołnierzy. Schylił się, aby go wziąć, jednak ten zahaczył się o coś i nie dawał się podnieść. Gdy mężczyzna szarpnął mocniej, spod ziemi ukazała się zaciśnięta na owym różańcu dłoń. Kiedy sanitariusz jej dotknął, z zaskoczeniem stwierdził, że jeszcze jest ciepła.

Wszyscy rzucili się pośpiesznie rozgrzebywać ziemię rękoma, aby po chwili wydobyć z niej nieprzytomnego młodego żołnierza. Nikt nie spodziewał się go tutaj znaleźć, a jednak... Nie wiadomo, ile dokładnie leżał przysypany osuwającą się pod wpływem wybuchu ziemią.

W ten właśnie sposób Wojtek Leski ocalał. Krótco po powrocie do domu pobrał się z ukochaną, która przez cały czas jego nieobecności niezwykle żarliwie modliła się za niego. Od tamtych niezwykłych wydarzeń mijały lata. Rodzina powiększała się, pojawiły się dzieci. Jedną z rzeczy, którą widziały codziennie, która była dla nich tak naturalna i oczywista jak wstające słońce, była sylwetka ojca klęczącego na modlitwie i zaciśnięty w jego dłoniach różaniec.

Czas płynął dalej, wiele się zmieniało. Nasz kraj przechodził kolejne ciężkie próby. Na świat przychodziły następne pokolenia. Ale ów obraz się nie zmieniał: klęczący mężczyzna z różańcem w ręku, także wtedy, gdy wiek przygiął jego postać i twarz poznały zmarszczki. Modlił się zresztą nie tylko na klęcząco. Nieraz szykujące się do spania wnuki, gdy szły powiedzieć mu „dobranoc”, widziały swojego dziadka, leżącego w łóżku i zaciskającego w spoczywających na kołdrze dłoniach różaniec.

Przez całe jego życie był to ten sam różaniec, za który Matka Najświętsza wyciągnęła go rękami sanitariuszy spod zwałów ziemi zasypujących okopy.

Ten sam różaniec leży obok mnie na biurku, gdy piszę te słowa. Wiele lat temu uratował mojego pradziadka, a teraz pozostał jako dziedzictwo, jako symbol i znak tego, że to nie zbiegi okoliczności i przypadki ukształtowały naszą rodzinę, ale sam Bóg i Jego Najświętsza Matka oraz codzienna modlitwa, płynąca przez lata. I przesuwane przez palce paciorki drewnianego różańca...

Jarosław Derewecki z Tych

http://www.rozaniec.eu/index.php?m=Rosary&a=ShowRosarySectionArticle&rsa_id=216

